NR. 1

ANTENA LITERACKA

CENA 50 GR.

ROK II.

Styczeń 1930 r. Kraków — Warszawa — Lwów — Poznań — Łódź — Wilno.

JAN WIKTOR.

„Skromność jest przymiotem rzetelnej wiedzy i talentu — dyletantyzm stroi się w pawie piórka" — oto jedno z niezapomnianych powiedzeń wielkiego estety i twórcy nowoczesnego teatru polskiego — Tadeusza Pawlikowskiego.

Zdanie to może być zastosowane w swej pierwszej części, do tak znakomitego artysty, jakim jest na firmamencie współczesnej literatury polskiej, autor „Tęczy nad sercem". Śmiało staję na stanowisku uwielbienia i hołdu dla jednego z najwybitniejszych pisarzy Polski i nisko pochylam czoło przed Jego arcytworem.

Wiktor — ten mistrz stylu, mocarz uczucia obejmującego wszystko — od sponiewieranej psychiki zwierzęcia bezdomnego — do potężnych wstrząsów ducha ludzkiego, od nędzarki stanowiącej już tylko łachman żywy, po magnata — pana nad pany, — Wiktor — pochylający się nad nędzą wszelakiego żywota ludzkiego czy zwierzęcego jako ów św. Franciszek, i dzielący z niemi ostatnią kroplę krwi swego przezacnego serca — jako człowiek prywatny — otula się szarą sutanną skromności i jakiegoś porywającego zażenowania, w obliczu słusznych głosów uznania, czy należnych mu hołdów. Robi wraż nie człowieka, który wstydzi się laurów, jakie oplatają jego czoło — gdyż w swej skromności — tak rzadkiej dziś — nawet u prawdziwie wielkich umysłów — onieśmielony czuje się własnem znaczeniem i wielkością.

Gdy przejdziemy całe Jego dotychczasowe tworzywo — staniemy wobec zagadki wielkiego serca, o które w dzisiejszej epoce materjalizacji i degringolade'y wszelakiej wzniosłości — tak trudno.

Wędrówkę po Jego dorobku artystycznym należy rozpocząć od **„Opornych"**. Daje nam w nich autor cykl obrazów o temacie zaczerpniętym z prześladowania unitów na Podlasiu. — Niedorósł krytyk — jak zresztą każdy człowiek — do tego, by trafnie określić tych cichych bohaterów ziemi chełmskiej, jeśli z nimi nie przeżył tragizmu ich ucisku. Posługiwać się będę więc niejednokrotnie słowami ich piewcy.

Przedstawia On nam „postacie wytrwałe, święte, w blasku gorejącego bohaterstwa potężne". Ukazuje nam „owe niezliczone szeregi męczenników, dźwigających krzyże po drodze cierpienia, którą przebywały pokolenia za pokoleniami, dziady pobite, ojce, matki, syny, całe rodziny, wsie, wybrany poczet bohaterów, ginących pod knutem, pod kolbą, wstępujących do więzień, na wyżyny tego polskiego Synaj, skąd przychodziły tablice przykazań, przynoszone narodowi przez jego Mojżeszów". A po owej Golgocie kroczyli „promieniejący przedziwną jasnością, wytrwali, nieustępliwi, niby surowi, a oblani uśmiechem dobroci, jasnością modlitwy, skrzącej się na ustach, w oczach i słowach". Zakrwawiły się wspomnienia w duszy poety — i krwią serca własnego maluje wizje bolesnych dziejów, ludzi, wypadków minionych, za któremi smutek snuje się jak kirowa, szkarłatem krwi zbryzgana smuga. W opowieściach tych sama rozpacz płacze i boleśnie skarży się żywemu Bogu, najżałośniejszemi słowy — które za gardło chwytają szponami i dławią — duszą — dręczą...!

Niedola snuje się dalej i wchodzi w temat następnego utworu Wiktora, w powieść p. t.: **„Przez łzy"**. — Jeszcze nie wszedłeś czytelniku daleko za wrota życia tych istot nękanych losem — a już porwanyś głębią uczucia i słońcem zrozumienia, jakiem darzy autor „przesponkę", ową poniewieraną istotę „na którą każdy może z własnego serca podnieść grudę błota, którą każdy przechodzień może bić bez wyrzutów kijem szyderstwa, wyzwisk, chłostać do krwi, pluć wstrętem — za najczystszy, niesplamiony poryw miłosnych upojeń", a z nią i jej dziecko — małego Wojtusia „który po nieznanym ojcu odziedziczył jedyny, ostatni, straszliwy spadek: zaród chorej duszy, odczuwającej głębię niedoli bliźniego, wrażliwej na objawy przyrody". I małe to stworzonko cierpi za niepoświęconą miłość swej matki. Wzgardzony przez wszystkich, jedynego powiernika znajduje w przyrodzie. I jej zwierza cały swój żywot, gawędząc z falami Dunajca i z obłokami — z lasami i z wichrami. A najwięcej miłuje ptaki. Wiedzie też długie rozmowy z tą czeladką Bożą, z niemi cierpi — z niemi się raduje — im powierza swe życie. A gdy burza rozbija gniazda „łkanie bezgłośne piersią jego wstrząsa, spływa w spojrzeniach pełnych żałości, i czuje do kogoś wszechpotężnego żal przeogromny za to, że pobił w ślepej zemście bezbronne, najbiedniejsze, ponad wszystko umiłowane". Ukochał te ptaszyny tak serdecznie, że zdało się, jakoby „dusza jego była też zbłąkanym na ziemi ptakiem, miłującym wszystko co małe, nędzne, sieroce, przygarniającym do miłosiernego serca jęk zgubionej boleści, płacz skrzywdzonych". „Wśród długich wędrówek po polach, lasach, wśród czarownych zakątków, wśród obłoków, poznawał różnorakie życie. Rozrzewniała go dobroć, cisza, spokój, szczęście. Jednakże w każdem westchnieniu świata, wszędzie i zawsze, i w spojrzeniu każdej godziny widział jakby dzioby i pazury sępie, prawo gwałtu, przemocy, prawo strasznej krzywdy, jakiemu ulega słaby ptak w lesie, a on biedny — bezdomny wśród dzikiego stada, które się nazywa — ludźmi". Aż wyzwoliła się jego dziecięca, świetlana duszyczka — gdy umęczony wędrówką po lasach i ostępach usnął na jasnej polanie — a ptaki uniosły to zacne serce swego brata i dobroczyńcy — „ku obłokom, w rajskie, niewidziane dziedziny, w Boskie krainy wiekuistej wiosny".

Dziwnie suggestywny wpływ na serce ludzkie ma Wiktor. Wszak po przeczytaniu tej powieści, nie można nie ulec bodaj w pewnym stopniu czarom przyrody — nie doszukiwać się jej piękna wzorem Wojtusia, a przedewszystkiem nie można zostać obojętnym dla ptasząt. — Zobaczymy zresztą w dalszych utworach tego znakomitego malarza-stylisty, przebijający się zawsze ów motyw.

Już w następnym utworze, w przepięknej **„Legendzie o Grajku Bożym"** — poi nas Wiktor miłością tych istot do Syna Bożego. Cykl ten stanowi wielki krok naprzód w rozwoju tego znamienitego artysty. Oto w przydrożnej kapliczce stoi Chrystus, na łące wśród kwiatów i ptaków rozśpiewanych. Człowiek z nawyku klęka, prędko wytrzepuje pańszczyźniany pacierz i idzie dalej: „A Chrystus zamknięty w ramach kapliczki — jako wygnaniec wśród rzesz — jako pustelnik wśród rozgwaru świata — choć imię Jego głośno wołano — był obcy". Tylko one jedyne przybywały do zwiastuna miłości, w ogrody najwyższej dobroci. I zwierzały mu swe uniesienia i upadki — mroki i błękity żywota, istniały tylko dla Niego i z Nim. A nieraz, gdy w ciche słoneczne południe wychodził ze swej kapliczki, zbiegały się wówczas ptaszęta, niby do Ojca swego najmilsi synaczkowie, siadały wokół Niego i prosiły o łaskę błogosławiącego spojrzenia. — Nieraz zapominał o nich, i dumał nad sercem ludzkiem, któremu mało było ofiary Golgoty — by się nawróciło. — „Dnia jednego Chrystus zeszedł z kapliczki. — Grzesznych nawoływać, chorych leczyć". Lecz ludzie nie poznawali Go, tak dalekim i obcym był dla nich. „Wielu urągało. Padały słowa przeżarte nienawiścią, niewiarą, splugawione szyderstwem jadowitem. Szedł obcy, samotny wygnaniec. A jeno ptakowie widzieli niedolę i udrękę Chrystusa". I ku nim się zwrócił widząc wrota ich serc naścieżaj rozwarte przed sobą i za ich miłość odpłacał im słońcem swej dobroci. Opiekował się niemi, karmił je, napastowane bronił, i siał wśród nich błękitne ziarno swej łaski, sam „szukając na pustkowiu serc, utraconego skarbu miłowania". „I nauczał Chrystus — człowiek Go słuchał i ptaki polne — a grajek Boży śpiewał pieśń miłości". W wędrówkach Boskiego Nauczyciela rozprószyła się gromadka — jeno pozostał jeden — najmilejszy „i stwarzał naiwną, prostą, ale natchnioną pieśń, pełną podziwu i zachwyceń, bo kochał bez miary i granic". Uczniowie nazwali go grajkiem Bożym. „Kiedy kirem cierpienia okryła Chrystusa noc w Ogrojcu — grajek Boży czuwał". A gdy ujrzał łzy spływające po obliczu Pana swego, chcąc ulżyć męce Jego począł nawoływać — „lecz wszyscy uczniowie, bladzi, strwożeni uciekli. Jeno ptak został". Gdy Chrystus szedł na Golgotę, grajek Boży był z Nim. Na widok ptaka, oczy Ukrzyżowanego dźwigały się z przepaści mroku, gdyż widział, że w tej zamieci obelg „jedno tylko wierne serce bije — jedno płacze. Boleść Ukrzyżowanego, stała się boleścią grajka łkającego". Gdy Golgota opustoszała rozpalił się gniew orkanów, opętany taniec żywiołów. — Szła zagłada. — Gdy burza ucichła, słońce strugami roztopionego żelaza lunęło — by wypalić zło ludzkie. — Chrystus spragniony przyjmował rosę z kielicha róży, którą ptak składał na umierających wargach. A gdy żołdak przebodził go włócznią — Syn Boży wezwał go z Sobą do Królestwa Ojca Swego. — „Po złocistej ścieżce miłości, wejdź do chwały ptaszyno, grajku mój, spocznij na piersiach, boś srodze dla mnie cierpiał". — „W rocznicę bolesną zlata grajek na ziemię, na Golgotę życia. Zagląda do serc, śledzi tajniki uczuć, bada czy z krwi ofiarnej już wyrasta siew przenajświętszy, zagląda do kapliczki na rozstajach... i pragnie wieść o miłości zanieść w przestworza, by jej światłością rozświecić smutek najdobrotliwszego oblicza. — A kiedy cicho wraca, spotyka Chrystusa w zadumaniu, zapatrzonego w dale horyzontów, pada na pierś Bożą i obaj niepocieszeni płaczą nad duszą ludzką, która jest jako przeczysta kropla rosy z rajskich, jasnych kwiatów miłości — rzucona w błoto życia..."

Porywającym jest ten poemat, stworzony w twórczem natchnieniu przez Apostoła miłości — Jana Wiktora. Tak długo przy nim się zatrzymałem, gdyż zasługuje na to swą artystyczną i wewnętrzną powagą — głębią — i jakąś mistyczną wzniosłością. A i to muszę dorzucić, że chciałem go przypomnieć rzeszom kulturalnym, by docenili wartość tej perły. Częste posługiwanie się słowami autora, jest chyba wytłumaczone, skoro przyzna każdy, że opisaniu tych wzlotów ducha — nie sprosta, kto nie stoi na poziomie Wiktora. Niejeden nudny wykład uczonego teologa, ni napuszona oracja kaznodzieji nie tchnie w serce człowieka tylu promieni miłości ku Zbawicielowi — co ten w słońcu i szkarłacie krwi serdecznej skąpany poemat.

Dzieła jakie wyszły później z pod tego pióra są bardziej znane i więcej docenione. Na właściwem stanowisku w literaturze naszej postawił Wiktora **„Burek"**. — Opuścił na jakiś czas ptactwo — by doń wrócić w „Gołębiach" i przerzucił się do historji psiego żywota. Zajął tą powieścią godne miejsce — koło Dygasińskiego. Maluje nam obraz podwórzowego kundla — wsiowskiego prostaka, paliwody — urwipołcia — pędziwiatra — bezczelnego — a pełnego zalet przyjaciela — czujnego strażnika. — Prowadzi nas autor po zagonach życia psiego, i ulegamy mu w zupełności, wobec tchnięcia w zwierzę duszy iście ludzkiej, jak to sprawił twórca tej historji.

Harcował Burek po dniach i nocach wśród zagród, to szukając przygody w spotkaniu z rywalem — to znów awanturek miłosnych — a wszędzie i zawsze zwycięski, chociaż nieraz lżejszy o kilka garści kudłów. Wszelkie Kruczki i Targaje z szacunkiem ustępowały mu z drogi, czyto gdy szedł w zaloty — czy na zdobycie smacznego kęska w cudzej zagrodzie. „Panował nad całą wsią, pędził życie w radości i uciesze, jakby miodem smarowane". Aż nadszedł czas wojny i poczęto psy werbować, z braku koni — jako zwierzęta pociągowe. Zabrali i Burka. Słońce zagasło w jego sercu i poszedł na tułaczkę, na poniewierkę. Początkowo buntował się, lecz wkrótce kije żołnierskie ubiły w nim żądzę wolności. — „Jeno przebolesny wzrok wypowiadał treść serca w spojrzeniach, zbroczonych posoką smutku, targał się skowyt rozpaczy, skowyt skrzywdzonego serca..." Wiecznie w zaprzęgu, w gonitwie, w mordędze — zaharowany, wynędzniały — zobojętniał na wszystko. Siły tracił, stawał się bezużyteczny. Miał nadejść już kres jego niewoli. Wyprowadzili go za miasto i tam mieli ubić i zakopać. Ostatni bunt huraganem przeleciał przez serce Burka i rzucił go na pierś kata. Żądza życia i pragnienie odwetu dodały mu sił. W kilka chwil potem, wolny umykał ku miastu. Zdany na własne siły szedł szukać ochłapu strawy i przytułku. Walka o byt ciężką była nad wyraz. Trzeba było zdobywać każdy kęs pazurami lub podstępem. Unikał ludzi, gdyż zbyt dobrze ich poznał. Aż pies-nędzarz natknął się raz na człowieka-włóczęgę — i obaj w spojrzeniach uznali się braćmi. „Na czarnem niebie zabłysła dla niego gwiazda uśmiechu samotnego człowieka". Dwaj samotnicy wygnani przez życie zwarli swe serca w bratnim uścisku — malarz i pies. „I jakby zachęcony szczerością wzroku, niesplamionego brudem myśli ludzkich, Mazurkiewicz opowiadał Burkowi o błądzeniu po manowcach, o niezmordowanym pościgu za nieziszczalnym majakiem życia, o prześlicznych kwiatach snów młodzieńczych, które ludzka złość zdeptała i opluwała". A pies zcałowywał łzy z twarzy przyjaciela, najserdeczniejszem ze spojrzeń wdzięczności i przywiązania. I tak pędzili wspólny żywot. — W czasie jednej z wędrówek jakie wspólnie odbywali, przechodzili koło zagrody, w której ongiś Burek rezydował. Zostawił człowiek psa-przyjaciela, gdyż wiedział, że lepiej mu tam będzie. Powrócił do swej samotni, ale jednak czekał — wierzył, że towarzysz serdeczny powróci. Człowiek-by ostał przy pełnej misce — ale Burek wrócił. Umiał wywdzięczyć się za okruch miłosierdzia. A na ściernisku serc obu wykwitł uśmiech radości, zaiskrzyły się rosą łzy szczęścia. — Przyszły ciężkie chwile dla tych udręczonych przez życie bezlitośnie skopanych istot. Zagościła nędza — głód — a do tego choroba. „Do izby wchodziły szare, ponuro rozełkane dni i noce" — mające być jakoby preludium do tragedji rozstania. — Przyszła chwila, gdy człowiek, kostniejącemi dłońmi ujął głowę psa, jakby szukając w jego spojrzeniu przyjaznej otuchy na dalszą wędrówkę. Burek patrzał długo oczyma nadziei, aż poznanie prawdy w skowyt rozpaczy zmieniło jego spojrzenie. Potem dni i noce całe spędzał na szukaniu przyjaciela — którego źli ludzie ponieśli do ziemi. „W dniach daremnej tułaczki, w dniach niewypowiedzianej tęsknoty za żywym człowiekiem ginął nędznie, zdychał w najstraszliwszej rozpaczy, a oczy żebraka bezdomnego, oczy schłostane, zbite, konające — po bezdrożach męki szukały drogiego oblicza..."

Wszelkie arcyludzkie dramaty, są zakłamanemi historyjkami, wobec tego arcydzieła, jednego z najgłębszych na obszarach literatury. Niesłychana głębia uczucia, mistrzowstwo psychologicznego ujęcia, kryształowo czysta forma, postawiły Wiktora odrazu w pierwszym rzędzie na polskim Parnasie. Zwycięsko wyszedł z rywalizacji z Dygasińskim — więc tem samem z Kiplingiem. Dziś tylko London stanowić może dla Niego godnego współzawodnika.

Nie ustając w pracy dał nam **„Srogiego psa i sentymentalnego zająca"**, historję rozgrywającą się w majątku wielkiego zwierząt

miłośnika — Adama Samborskiego. Zakochał się ów pan i na strunach skrzypiec wyśpiewywał cały ogrom uczucia — zapominając o swej czeladzi, wśród której rej wodziły dzielne samce — kaczor — kogut — kpiące wróble, szczygły, zięby, sikory — głupi indyk — i pies, włóczęga wsiowski, Komornik. Niedługo jednak włóczyła się dusza jego po rozłogach smutku, gdyż pod ożywczemi promieniami wzajemności — niwa serca rozkwitła całą tęczą kwiatów, przepychem wiośnianego szczęścia. — Wyszedł o świcie w pola, by uzbierać dla umiłowanej bukiet sasanek, gdy nagle wzrok jego przykuty został do morderczego wyścigu zająca z jarzębiem. Zdało się, że żadna moc nie zdoła ratować owego szarego kłębka przerażeń, który rzucał się to tu, to tam, sadził prosto, skręcał w bok, łamał bieg, kluczył, aż wpadł, szczęśliwem zrządzeniem losów, w gęste haszczyny. Tu już na nic nie zdały się ciosy, na nic szpony — usiłujące rozerwać zwarte, ciernistе sklepienie, kryjące zdobycz. Jastrząb poszybował w dalszą wędrówkę. — Adam usiłował odszukać szarego zbiega. Gdy zbliżył się do krzaków, kilka zajęcy umknęło. Jeden tylko przerażony tą nieoczekiwaną wizytą — zamarł w bezruchu. Wziął go Adam do domu. Cała podwórzowa gromada nawet nie zainteresowała się przybyszem. Tylko pies i kot zaznaczyły swój wrogi stosunek. Dłuższy czas zając był osowiały i bez humoru. Później zaprzyjaźnił się z drobiem. Do kota nie czuł zaufania, a ilekroć ten się doń przybliżał, czmychał do Adama. Pies zachowywał się napozór obojętnie, zajęty walkami z całą hordą wsiowskich zabijaków, o względy Azy. Plastyka z jaką Wiktor opisuje te zmagania i zaloty, jest jedyną w swoim rodzaju. — Zając — tymczasem rozmiłował się w muzyce swego pana i godzinami całemi potrafił wsłuchiwać się w tony skrzypek. Tu czuł się najlepiej — bezpieczny od psa. Bo choć Komornik nieraz cięgi zbierał od Adama za napastowanie Kubusia, nie potrafił przemóc w sobie zazdrości. Widział bowiem, jak „zając okrada go z darów przyjaźni, które dawniej w całej swej szczodrobliwości były jego własnością“. Aż Kubuś zniknął. Kot, który go był polubił, osowiał i szukał towarzysza zabaw po całych nocach. Samborski chcąc go graniem przywabić, szedł w pole ze skrzypkami. Zając wyłanial się ze zbórz, lecz zażywszy już swobody, nie chciał powrócić do domu-więzienia. Codzień jednak przychodził słuchać. Pewnego dnia, gdy Adam w uniesieniu wygrywał serce swoje, wypadł z krzaków Komornik, jak orkan nienawiści i po chwili walki strzęp zająca rzucił do stóp swego pana.

Czyż potrzebne są do dzieł Wiktora słowa mędrkującego krytyka — napuszone komentarze? Samą treść podać, okraszoną czasem słowami autora — oto co powinno wystarczać za wywody — dowody — i przemądre analizowanie tych, sercem i potężnym talentem, kreślonych powieści.

Porzucił szlachetny poeta świat zwierzęcy i zstąpił na dno życia, by opisać żywot nędzarki — sprzedawczyni gazet w szczytowem swem dziele: **„Tęczy nad sercem“**.

Gospodynią była na morgach. Za długi męża-pijanicy musiała sprzedać dobytek. Opuszczona zamieszkała w mieście, w norze pod schodami. — Dzień cały sprzedawała dzienniki. „Mozół dni płynął jak czarna rzeka, a jednak do nikogo nie czuła żalu, nikt nigdy nie słyszał skargi“. Nieraz gdy wracała późnym wieczorem do swej zatęchłej nory, zastawała drzwi wywalone, a w izbie nieład. To mąż demolował gniazdo tego łachmanu ludzkiego, szukając pieniędzy na wódkę i dziewki.

Ilekroć starowina siadała pod murem, by sprzedawać „Kurjera“ i zapałki, wnet zbiegowisko ptaków i psów bezdomnych czyniło gwar koło swej dobrodziejki, która sama będąc uosobieniem nędzy, dzieliła ostatni kęs z niemi. I szczęśliwą się czuła wśród tej gromadki, wdzięcznej jej za złoto uczucia i dobroci, ta patronka nędzarzy, sam wśród nich najnędzniejsza, najbardziej opuszczona.

Nadeszła wigilja. Spędziła ją wśród zawiei, na ulicy, gdy na barłogu jej przytulenie znalazło dziecko bezdomne i pies. Przesuwały się przed jej oczyma obrazy przeszłości — wieś, gromada, dawne święta. Przyplątał się do niej kogut zbiegły z targu (opis targowiska godny pióra Reymonta!). Zostawał przy niej dzień cały. Na noc gdzieś się gubił, by znów o świcie znaleźć się przy niej. Zaprzyjaźnił się z psem i razem wyszukiwali po śmietnikach kęski godne ich niewybrednego podniebienia. Raz zniknął na kilka dni, aby powrócić z kurą — zbereźnik.

Gdy wiosna nadeszła, babka o świcie wymykała się za miasto, na pola, tęsknotą ciągniona ku tym łanom, których już nie danem jej będzie uprawiać. W niedzielę, gdy sprzedała gazety szła za miasto — ku wsi — by napoić serce płomieniami uniesień. Ptaki jej śpiewały, gadzina podnosiła oczy oblane poczciwością, cała natura śmiała się do niej, słońce inaczej tu świeciło. Zdało jej się, że za życia była w niebie. I choć mieszkała w mieście, jednak żyła wśród złotych łanów, gdzie wszystko jej było w światłości skąpane, dobre, słoneczne...

Nadeszła jesień w habicie smutku i coraz częściej łzy padały na grudę serca Włodarczykowej. Umarł jej mąż, pojednawszy się jednak z Bogiem pod wpływem jej dobroci. Ostała sama „Mozół, nieszczęścia, zawody, upadki — złożone były na stos ofiarniczy, który płonąc zmieniał łzy i smutek w wesele. Do duszy spływała pogoda, ten uśmiech Boży, słowo pokory., które święty Franciszek z Assyżu — siewca miłości rozrzuca po ugorach świata“.

Znów nadeszło Boże Narodzenie. Strudzona życiem Włodarczykowa ułożyła się do snu. Daremnie dnia następnego czekały dzieci bezdomne — ptaki — i pies na staruszkę. Leżała na swym barłogu, i jeno przejasny uśmiech wykwitał na ustach tej — co „przewiązała ziemię i niebo tęczą serca, zbuntowanego dobrocią“.

Najszczytniejszym wyrazem miłości franciszkańskiej obdarzył nas ten apostoł miłości, składając dzieło swe na ołtarzu kultury narodowej. — Czy dar ten bezcenny nie został zapomnianym i skalanym — okaże przyszłość. Dziś tylko w najgłębszym hołdzie pochylam czoło przed najpiękniejszą gwiazdą, zrodzoną z serca i talentu, jaka się pojawiła na firmamencie sztuki polskiej.

Jak zapowiedziałem przy „Legendzie, o Grajku Bożym“ wracam z Wiktorem do ptaków. Wyszedł z pod jego pióra iście serafiki poemat: **„Gołębie przy kościele“**. Jak wszystkie zwierzęta Wiktora, tak w tym wypadku owe ptaszęta stają przed naszemi zachwyconemi oczyma, przystrojone w szatę człowieczeństwa, natchnione duszą ludzką, opromienione miłością poety. Utwór ten powinien sięgnąć wszędzie, by ludziom dać w chaosie współczesności, ukojenie — jasny promień serca — i tchnienie przeczystej poezji. By zrozumieć Wiktora, trzeba w sobie odszukać serce, dziś tak bardzo zapomniane i zaniedbane, i dać mu bić rytmem poddanym przez tego wirtuoza.

Gołębie, owi błazenkowie boży, wyszukali sobie schron przy kościele. Tam żywot swój pędzą i gruchają Chrystusowi swe smutki i radości. A wielki Gołębiarz uśmiecha do najmilszych swych ministrantów i błogosławi im. Powierzają mu swe miłości, w jego obliczu przeżywają grozą tętniące wypadki.

Opisywanie piękna tego poematu leży poza granicami krytyki — dlatego wstrzymuję się i nie brnę dalej. Wiem tylko jedno, że aby wychylić godnie tę kryształową czarę niepokalanych upojeń, trzeba odszukać w sobie duszę ludzką! W zgiełku współczesności ogłuchliście na głosy serca własnego i nie słyszycie już nawet myśli swoich! Szczęk broni, jazgot żądzy, warkot motorów i brzęk a szelest pieniądza — zabił w was Człowieka! Wiem aż nadto dobrze, że w jazzbandzie współczesnego życia, czarujące, przeczyste tony harfy eolskiej, będą dyssonansem, ale może są jeszcze ludzie, którzy umieją kochać Piękno i Pięknem się rozkoszować. Ci podejdą do tworów Wiktora — jak do życiodajnej krynicy i spragnieni, czystego serca w niej szukać będą! Jeśli zaś idzie o wartości literackie, to autor „Tęczy nad sercem“ stoi na pograniczu między Dygasińskim a Reymontem.

Niema odcienia duszy, którego by się nie można było doszukać na palecie Wiktora. Zwierzęta i ludzie — to twory żywe — nie z fantazji zrodzone, aczkolwiek swym talentem potrafi we wszystkiem ujrzeć czar poezji i nam go przekazać. Jest on jednym z tych nielicznych, którzy potrafili się wżyć w duszę wszystkiego, co cierpiące i skrzywdzone — ująć blaski i nędze wszechświata — a nic ludzkiego ni zwierzęcego nie jest mu obcem. Postacie jego doskonale skreślone, figury skończone, drgające wszystkiemi pulsami rzeczywistego życia, wykute pewną ręką aż do najdrobniejszych odcieni, wbijają się w pamięć plastyką i soczystością barw, jakiemi dysponuje ich twórca. Pogłębione są owe typy psychologicznie, dzięki świetnej obserwacji — znakomitej umiejętności wnikania w duszę wszystkiego, co żyje i kolosalnej sile ekspresji. W utwory Wiktora można się wczytywać z podziwem i miłością. Śmiały i bujny temperament porywa go nieraz w otchłanie bytu — to znów wynosi na szczyty ekstaz — wszędzie po zawrotnych wirach życia — by dojść do pełnego poznania.

O stylu Wiktora wyraził się jeden z najpoważniejszych krytyków, że zdobyć się nań może tylko szlachcic z krwi i kości. Nawskroś polski — nawskroś artystyczny, czy to w świetnie opanowanej gwarze podhalańskiej, czy w języku ulicy, salonu lub ewangelicznym.

Dziś, kiedy porzucił tematy ze świata zwierzęcego i przerzuca się na niwę społeczną, należy spodziewać się rewelacyj artystycznych — tak w powieściach z życia emigrantów polskich we Francji (w **„Strzępach“**) — jak i w **„Zwarjowanem mieście“** dziele o współczesności. W obu nie ten sam Wiktor, jakiego znaliśmy dotychczas — przyszłość rozstrzygnie który z Nich większy?

Alfred Woycicki

Stanisław Kaszycki.

Otom twoja.

Ugiely się godziny pod tesknot brzemieniem.
Radosny ból tajemnych, trwożnych oczekiwań
Spojrzał w oczy obłędem, legł na duszy
[cieniem...
Jakieś straszne Nieznane kusi i przyzywa.

W mózgu tańczą minuty wściekłą pantomimą.
Spojrzenia twe zmąciły rytm mego oddechu.
Głos mój szeptem bezdusznym w zmierzchu
[się rozpłynął,
A w ustach drżących czuję cierpki przedsmak
[grzechu.

Całujesz — i ustami zcałowujesz trwogę
Z pragnących ust mych, z oczu i z piersi
[i z ramion...
Nic nie wiem i niczego zrozumieć nie mogę,
Bo myśli sobie przeczą i wzajemnie kłamią.

Usta twoje na moich legły dni tęsknotą.
Pocałunek twój na pierś spadł wiecznym
[niesytem.
Twoje ręce kołyszą słoneczną pieszczotą,
I prężą me ramiona stu wiosen rozkwitem.

Rozszumiało się serce, jak drzewa na wichrze.
Krew w skroniach uderzyła szalonym tęten-
[tem.
I palą mnie twe słowa ciche, coraz cichsze,
W twojej piersi zuchwałej, jak w ogniu
[poczęte.

Czy to kwiaty tak pachną, czy ten zmrok —
[czy cisza?
Na oczy sypią śnieżny pył kwitnące drzewa...
Czas już moją rozkoszną niepamięć podsły-
[szał...
— Otom twoja i w twoich ramionach omdle-
[wam.

Franciszek Lipiński.

Zima.

Za srebrową szybą pali się zima biała — —
W biały pióropusz śniegu ziemię drzemiącą
[stroi.
Mróz cierpki, musujący, rumieni nasze ciała,
Wkrada się w ciepło chatek i malowanych
[pokoi.

W biały krajobraz zimy bez tęczy i zieleni
Łaskawe blaski słońca wpadną, jak strzały
[złote
I w duszy udręczonej mękami codziennemi —
Zapalą ogień święty za wiosną tęsknoty!

Gdzieś, na dalekich polach, cisza zimowa
[śpiewa
O życiu swem w dni zimne, o nadziei dalekiej,
Że przyleci tam lato, żyto będzie dojrzewać
Takie samo pachnące, jak przez wszystkie
[wieki!

Człowiek — Artysta.

„Homo sum, humani nihil a me alienum puto“. Zdanie Terencjusza zastosować można do wielkiej postaci, Człowieka-Artysty: — **Stefana Jaracza**. W zakresie swoich ról nie pominął **Jaracz** — oczywiście w granicach możliwości — ani jednej, któraby nie uplastyczniła postaci nawskroś ludzkiej, a zatem przyziemnej, jakże często nieszczęśliwej. Nie triumfalny pochód na koturnach, łaskawie okazujący ogółowi, dostojność i majestat swego nieszczęścia, lecz najzwyklejsze troski codzienne, radości i przykrości, rozczarowania i rojenia w jaknajskromniejszych rozmiarach, — oto czego jesteśmy świadkami, dzięki stojącej na nieosiągalnej wprost wyżynie „grze“ Jaracza. Ująć należy wyraz: gra w cudzysłów. **Jaracz** żyje, nie „gra“. Jest wielkim artystą, nietylko wielkim aktorem. Być tym drugim nic jest tak łatwo. Moissi nie ma wielu pod tym względem rywali. Skoro jednak porówna się wrażenia, odniesione po grze Moissi'ego i po życiu na scenie Jaracza — widzi się olbrzymią różnicę, zachodzącą pomiędzy owemi dwoma pojęciami. **Jaracz** żyje na scenie, lecz tak, że nakazuje zapomnieć o kilkunastu metrach desek scenicznych, jest wśród nas, razem z nami. A gdy kurtyna odetnie **Jego** postać od serc naszych, niezapominamy o **Nim**.

Egotyzm wrodzony jest nam wszystkim. Bez względu na rodzaj postaci, ożywionych talentem **Jaracza** — zobaczymy w każdej z nich cząstkę siebie samych. Poruszyć egotyzm ukryty w nas wstydliwie, zwalczany i niszczony — jakiej-że to potrzeba mocy? Chyba takiego władcy uczucia, jakiem jest odtwórca, a równocześnie współtwórca galerji ludzi szarych, a tak bogatych duchowo, że mogliby zawstydzić niejednego, nieprzystępnego bohatera gładkich, poprawnych tragedyj.

Teatr im. J. Słowackiego ma szczęście gościć na swej scenie tego największego bezsprzecznie dziś artystę polskiego. Podobno gościna zbliża się ku końcowi. Podziwialiśmy genjusz **Jego** w sztukach polskich („Uśmiech losu“, „Szczęście Frania“ Włodz. Perzyńskiego, „Adwokat i róże“ Szaniawskiego), oraz zagranicznych („Pan Brotonneau“ Flers'a i Caillavet'a i „Artyści“ Watters'a i Hopkins'a). W tych ostatnich **Jaracz**, ze względu na frekwencję, występował o wiele razy więcej. Nie dlatego, by jako Franio, Siewski lub mecenas nie wykazał potęgi swego talentu lub nie miał go gdzie uwidocznić, lecz — stara piosenka — są to sztuki polskie, — bez cienia szowinizmu stwierdzając, — o wiele głębsze niż zagraniczne, a więc dwa powody, dla których musiały ustąpić miejsca bardziej efektownym a płytkim produkcjom spółek francuskich czy amerykańskich.

Zarzut płytkości odnosi się szczególnie do zakończenia „Artystów“. Krążą złośliwe pogłoski, jakoby w oryginale Pp. G. M. Watters i A. Hopkins umieszczając zakończenie „Artystów“ na przedstawieniu, nie zaś, jak w przeróbce scenicznej Hemara na próbie generalnej, osiągnęli głębszy nastrój. Nie naszą rzeczą jest wkraczać w ową przeróbkę — epidemję, grasującą dziwnie bez przeszkód na horyzoncie sztuk teatralnych („Trio“ Lenca przeróbka Kleszczyńskiego). Faktem jest, że polska twórczość dramatyczna nie cieszy się u nas uznaniem. Oddalmy od siebie jednak ową gorzką, jak cykuta lub los literata polskiego, refleksję, aby pod adresem **Stefana Jaracza** przesłać najszczersze słowa podzięki za dotychczasową ucztę artystyczną i prośbę o dalszą. Są to słowa nas, skromnych widzów, nie śmiejących się w tragicznych momentach i nie oklaskujących „girls'ów“ z takim samym zapałem, jak niedościgły artyzm Jaracza. *Wigo.*

Aniela Daszewska.

Szpital.

Lamp nocnych wkoło światłość grzązka.
W ramion gorace obrecze bierze mnie go-
[rączka.

Biegną, wirują szeregi łóżek —
Nagle zmęczone — przysiadły:
Białe tabliczki mają w górze.
Srebrny nerw rtęci
Zawrotnie tańczy w termometrach —
Gorączka głucho rzęzi.
Śmierć walczy z życiem — chytra —
Kościstym palcem
Łamane kreśli błyskawice
Na czystych, białych tablicach.
Łóżka — tablice — zbiegły w popłochu.
Z kątów szpitalne wypełzły szlochy.
Jęk długi — boleśnie pełza poprzez sale,
Przez drzwi, przez mroczne pełza korytarze —
W cienne się wciska zakamarki:
Cierpienia grają wargi!
W murach szpitala
Ta pieśń gra nocą.
Znów biegną łóżka rzędem,
Wśród niespokojnej ciszy,
Zdają się instrumentem
Niestrojnych, rozbitych klawiszy.

Zenon-Kolerba-Dziuban.

Światowidowa śmierć.

Pewnie się wtedy wierzba kąpała w siwym
[stawie,
a zielona topola patrzała słońcu w oczy,
gdyś umierał związany powrozami wrzawy
Światowidzie — bogu dębowy i... mocny.
Siła i boskość jest jak krzak werweny
na grzędzie czworogrannej: grobie ładnej
[panny.
Cóż z tego, że na wiosnę zakwitają kwiaty,
skoro więdną z pokrzywą i miętą w jesieni.
Rodzi się w nas co rana dębowy Światowid,
ale umiera wieczór, kiedy łzy kapią z pod
[powiek,
a słońce lasem-grzebieniem lniane przygładza
[włosy.
Niech będą pochwalone wiersze dojrzałe jak
[kłosy —
i ziarna słów idących po tęczy do Boga.
— Śmierć jest godziną szczęścia — trumna
[kołyską ze złota.

Wincenty Hlouszek.

Kaskada.

W kamiennej rynnie żlebu
bełtliwa dudni woda,
po głazach, jak po schodach,
po glazy skacze z nieba.
Na skoczni z skał do skoku
prostuje się, jak narciarz —
i od lawiny warciej
niknie — — w kwietny dolin spokój

Trzy nagrody literackie

za rok 1929.

Nagroda Lwowa — L. Staff.

Cała twórczość Staffa jest spowiedzią, — pisał St. Brzozowski. Określenie to nie jest ścisłe, bo spowiedzią powinna być każda rzetelna twórczość.

Poezja Staffa — to spowiedź radości; radości, która budzi się wtedy, gdy uświadamia się sobie jakąś najbliższą pozornie rzecz. Poznanie, uświadomienie — to walory i cechy charakterystyczne poezji Staffa. Uświadomienie ma już w sobie dużo z intellektu. Staff jest właśnie tym typem poety, który ma zaufanie do wiedzy. Nie mrozi to bynajmniej jego sztuki, — a daje jej głęboki rezonans wielkiego świata wiedzy. Sprawia to tę ogromną intensywność w przeżywaniu najróżnorodniejszych tematów, dostępnych tylko umysłom wszechstronnie i głęboko wykształconym. Jeśli Staff w poezji swej spowiada się — to ma z czego się spowiadać. A w tem tkwi sedno!

Jeśli dzisiaj większość zdemokratyzowanych poetów cechuje wypieranie się liryki osobistej, strach dziwny przed obnażaniem własnej duszy, to nie znaczy to, żeby nikogo nie obchodziło to, co artysta czuje, co przeżywa — jest to tylko faktem stwierdzającym, że ci poeci nic pięknego i wielkiego nie przeżywają. Jeśli dziś mówi się do artysty: nic nikogo nie obchodzi, co ty czujesz — nie znaczy to, by tak było naprawdę. Zaprawdę płaskie myśli i wyszarzane uczucia nie nikogo nie obchodzą i obchodzić nie będą nigdy. Ale spowiedź serca, co przeżyło i wyczuło najdrobniejsze drganie duszy ludzkiej, serca co tajemniczą siłą zmieniło w swem wnętrzu każdą rzeczywistość w sen piękny i jedyny, co w sobie odnalazło niewyczerpane źródło poezji — taka spowiedź zawsze będzie tem, co jest dla nas najdroższe i najświętsze. A właśnie Staff ma tę cudowną zdolność wyczucia we wszystkiem poezji i tworzenia ze wszystkiego poezji. On, może jeden wśród dzisiejszych poetów, godzien jest o sobie powtórzyć za Norwidem — „poezja, co aby była poezją, odrzuca tematy suche i czeka na wdzięczne, nie należy do mojej kompetencji“. Ale aby z każdego najmniejszego porywu życia czynić poezję, trzeba mieć w piersi „całą bezkształtną masę kruszców drogocennych“ i czuć najwyższą odpowiedzialność wobec siebie i sztuki.

Jeżeli p. Grot w „Głosie Literackim“ odsuwa Staffa od współczesnego życia literackiego, nazywając go „Wielkim Antykwarjuszem“ — to stwierdza tem samem obawę współcześnie niby tworzących poetów, którzy czują odpowiedzialność za słowo, ale tylko względem jakiejś kasty, czy partji, czy doktryny: aby nie było kolo nich i nad nimi żywego sprawdzianu wielkiej i nie nowoczesnej, lecz zawsze współczesnej sztuki. — I właśnie w obliczu tych doktrynerskich posunięć względem Staffa znamiennem i zadziwiającem jest to, że żaden z poetów Młodej Polski nie wywarł takiego wpływu na młodszą generację poetycką jak On. Staff ma już epigonów i to utalentowanych! A od przeważaczy jego bogatej duszy, rozrzucanej z młodzieńczym zawsze przepychem, aż roi się w młodej poezji. Wierzyński nauczył się od Niego tej swej cudownej „pijanej duchem bożym“ młodości. Tuwim wyraźnie szedł długo jego śladami, szkoda tylko, że tak mało przyswoił sobie od Staffa... kultury. Jan Sten nazwał twórczość Staffa „skarbnicą chłodu“ w jednym z feljetonów w krytyce Feldmana. Czemuż więc ten chłód rozpala w młodych najpierwsze ognie uczucia? Bo poezja Staffa nie jest chłodem. Jest wspaniałym dokumentem na to, że prawdziwa sztuka nie rodzi się w najczarniejszych otchłaniach, ani najjaskrawszych płomieniach myśli, lecz w spokojnem w namiętnościach i tryskającem namiętnością w spokoju, sercu człowieka. Tylko harmonja wewnętrzna, zespolenie całkowite najgłębszej treści psychicznej ze światem wrażeń i przeżyć — tworzy sztukę. Aby zaś sztuka nie kostniała w jednej płaszczyźnie (wtedy nie jest już nawet sztuką) pojęć, aby mogła ogarnąć całe życie, cały świat, to człowiek tę sztukę tworzący musi sam przejść cały świat kultury i całe kulturalne życie. I znowu analogja ze Staffem. Zdumiewa bowiem ta rozpiętość świata kultury i wiedzy, do którego przystaje jego świadomość i intuicja. I tu jest może ta dziwna współczesność Staffa, w tem, że ocenia on należycie walory rzetelnej wiedzy sięgającej daleko i głęboko poprzez świat; że równocześnie z rozwojem poety rozwijał się w nim człowiek. Staffa nie da się tak łatwo przekreślić jednem pociągnięciem pióra partyjnego pismaka, gdyż zbyt poważną stanowi on pozycję w naszym dorobku kulturalnym. I można powiedzieć i trzeba powiedzieć: Staff, to wielki współczesny poeta!

Nagroda Poznania — J. Weyssenhoff.

Nagrodę literacką Poznania na rok 1929 otrzymał autor „Jana bez ziemi“. Nie wolno mi w piśmie literackiem oceniać względów, które zadecydowały, że przy poprzedniem uchwaleniu nagrody literackiej, przyznano ją wybitnemu publicyście i politykowi, odrzucając temsamem kandydaturę takiego poety, jak Kasprowicz, ale widocznie wzgląd na pozycje pozytywnych zdobyczy, jakie bądź co bądź przedstawiała dla Poznania polityka p. Dmowskiego, przeważył szalę, na której z jednej strony leżały „pozytywne rezultaty“ ideologji p. Dmowskiego, z drugiej zaś „tylko“ poezja — i to poezja „tylko“ Kasprowicza. Przyznanie nagrody J. Weyssenhoffowi rehabilituje jury poznańskie, gdyż autor „Sobola i Panny“ w każdym razie reprezentuje literaturę.

Właściwie „sztuka pisarska“ Weyssenhoffa z nielicznemi zastrzeżeniami jest za blisko i zbyt mocno związana z życiem i aktualnością polityczną czy społeczną, by miała stać się czysta i nieskazitelna w powodzi lat i wypadków. Weyssenhoff patrzy na życie w specjalny sposób, cechujący raczej społecznika, niż artystę. Widzi on w ludziach nie obojętne ogniska energji psychicznej, lecz dodatnie lub ujemne czynniki rozwoju, zdrowe lub chore komórki organizmu społecznego. Dlatego Podfilipski, ten szubrawiec społeczny, został z tak doskonale ukrytą ironją potraktowany w pierwszej książce Weyssenhoffa, - dlatego Dołęga poświęca swą miłość osobistą dla spraw ponoć ważniejszych... bo społecznych. Że zaś autor „Puszczy“ baron Józef Weyssenhoff, wychowany w kulcie dla świetnej tradycji świetnych przedków musiał krytycznie oceniać wszelkie rewolucyjne zapędy, więc dlatego tak mizernie przedstawia się w jego powieściach rewolucja polska 1905 r. (Hetmani) i uświadamiające budzenie się wsi polskiej (Gromada). — Da się więc stwierdzić, że w powieści społecznej Weyssenhoff traci grunt pod nogami. — Przyczyna tego jest widoczna: w chłodnem, wytwornem milczeniu obserwuje on życie społeczne nie przeżywając jego różnych objawów w sposób żywiołowy i głęboki (jak to uczynił np. Żeromski); że zaś obserwuje życie zbliska, traci perspektywę, od czego nie ratuje go nawet pozorny objektywizm obserwacji. — Jest jednak pewna dziedzina życia, w której Weyssenhoff obraca się z nieposkromioną swobodą, gdzie naprawdę żyje, gdzie czuje się u siebie, gdzie magicznem dotknięciem pióra kształtuje rzeczywistość żywą, jędrną, pulsującą najgłębszem ukochaniem i owianą najpiękniejszą tęsknotą. To — „Puszcza“ i — „Soból i Panna“.

Umiłowanie przyrody i życia, które w jej obliczu zawsze jest pełniejsze i piękniejsze, z bajeczną plastyką przedstawione w tych „myśliwskich“ powieściach, zapewniło Weyssenhoffowi nietylko sławę i uznanie talentu pisarskiego — ale i — co jest rzeczą dzisiaj zwłaszcza „niedzisiejszą“ — poczytność.

Nagroda państwowa — F. Goetel

Dotychczasowa twórczość Goetla należy do najzdrowszych objawów literatury polskiej i sztuki wogóle. Pisarz, który nie łudził ani zwodził zapowiedziami tego, co dać może i co może da, lecz dawał odrazu rzeczy same z siebie mogące istnieć w literaturze, jako utwory dojrzałego technicznie pióra i myśli cy wyobraźni niepospolitej — nie należy do zawisk normalnych. Tembardziej, że sztuka Goetla wyrosła z wojny. I właśnie dlatego tem wyraziściej zarysowuje się na mglistem tle powojennej polskiej literatury, pełnej dziwactw, snobizmu i zwyrodnienia jego męski talent. Talent, który jest wielkim argumentem naszej spółczesnej literatury dla świata. Bo twórczość Goetla jest zrozumiała nietylko u nas; wszędzie! Jego powieści podróżnicze są wyjściem na świat człowieka wolnego świadomego swej wolności i wartości, jakie ta wolność daje. A wartości, które wnosi Goetel do literatury są jakości pierwszorzędnej.

Juz od czasu jak odkryto, że podobno walka o byt jest największą i zgoła jedyną treścią ludzkiego żywota, zaczęto żądać od artystów, których zdegradowano do roli bardów, dodających ducha walczącym, by tworząc swą sztukę, wypracowali sobie jaknajszerszy światopogląd. Jeśli przyjmiemy, że artysta jest zawsze wyrazicielem tego, co już było, cóż tedy łatwiejszego! Wszak tyle jest gotowych doktryn filozoficznych, społecznych [illegible] — I tak się stało.

Mamy dziś mnóstwo pisarzy o ustalonym poglądzie na świat, poglądzie wypracowanym poza nimi i bez ich współudziału. Nikt po światopogląd nie poszedł tam, gdzie jedynie należało go szukać: w życie. I dlatego te papierowe światopoglądy tak anemicznie wyglądają w sztuce. Inaczej zrobił Goetel. Na wszelkie bolączki życia, na wszelkie niesprawiedliwości i problemy życiowe znalazł odpowiedź w życiu. A znalazł je tylko dlatego, że był... artystą. Niektóre prawdy zasłonięte są oczom tych, którzy chcą je tylko ująć, zrozumieć. Pojmą je, chcący uczynić z nich swój oręż i sztandar. Ci, nie pobudzają śpiącego ducha do walki — walczą sami, walczą o siebie nie dla siebie. Walczą dla wszystkich ale nie o wszystkich. — Te refleksje, nasuwają się przy próbie odgadnięcia światopoglądu Goetla. Świadczą o jego szlachetności i męskości. A przecież nie tu jest punkt ciężkości sztuki autora „Ludzkości“. To są sprawy natury raczej społecznej niż literackiej. Chodzi o to, co Goetel z tym światopoglądem zrobił w sztuce. Stworzyć sobie światopogląd w życiu to dla twórcy mało — trzeba jeszcze go raz stworzyć w sztuce. I stworzyć tak, by nas z kartek książki przekonał nie światopogląd a sztuka. Z tego zagadnienia wywiązał się Goetel dobrze i ciekawie. Usunął w swych powieściach na bok swoje „ja“ a nasunął przed oczy szereg obrazów, których zestawienia i oświetlenia były... nasze własne, ale jakoś zmienione, uzupełnione czemś. Tam gdziebyśmy postąpili źle, głupio, dzieje się coś niedostrzegalnie, co zmienia nasze postępowanie i ciśnie na usta okrzyk: „ach, tak trzeba było uczynić. Że też się tego nie domyśleliśmy!“ — A to „coś“, to niewidoczne, uzupełniające naszą świadomość o nowe spojrzenie na świat — to jest właśnie sztuka. I to sztuka wielka. Nie pokrzepiająca nas w walce o byt, ale odrywająca od niej na chwilę, choć na chwilę.

Lech Piwowar.

Wiesław Gorecki.

Paralityczka.

Wtłoczona w czarny fotel, toczący się zwolna,
Wierzy jeszcze, że może uzdrowi ją cud.
Do najmniejszego ruchu nogami niezdolna,
Obserwuje zazdrośnie innych szybki chód.

To małe dziecko z piłką — jakże szybko goni.
A ci chłopcy, jak pędzą — nie doścignie wzrok.
Oh! Gdyby ktoś przystąpić zechciał kiedy do [niej,
Aby na nim oparta, uszła choćby krok.

Nikt nie zbliży się ku niej, wszyscy są daleko:
W samotności przemija długi, przykry dzień.
Któżby znów zastanawiać chciał się nad [kaleką?
Co tam jeden wyschnięty, pacierzowy rdzeń?

Myśli jej mkną, jak stado spłoszonych gołębi.
W przeciwieństwie do chorych i bezsilnych [nóg...
Jedna zaś myśl zaczaja się w jej serca głębi:
Dlaczego nie uzdrawia mnie wszechmocny [Bóg?

HANKA KŁOSIŃSKA (Biała).

Zamarłe ręce.

Sław Lubicz szedł przez życie z skrzypcami opartemi o serce. Nikt nie znał jego zawiłej duszy. Przepadał bez wieści na całe miesiące, by nieoczekiwanie zjawić się na symfonicznym koncercie w stolicy, czy karczmie przydrożnej w podbeskidzkiej wiosce. Grał pięknej kobiecie i prostemu chłopu, dzieciakowi umorusanemu i mecenasowi sztuki z jednakim artyzmem i ukochaniem. Na strunach jego skrzypiec szalały wichry górskie, płakała krzywda ludzka, szumiały zboża i weselny śmiech dziewczyny. Jego muzyka pulsowała krwią, jak żywe serce, a poprzez wichry, słoty i burze, niosła pieszczotę zaczarowanych dłoni, co skradały światło słońcu.

Żył własnem, dla innych niepojętem, życiem. Czy czuł, myślał, wierzył, kochał, czy pragnął czego? Czy istniało dla niego coś milsze, niż życie? — nikt nie wiedział.

Aż oto nieoczekiwanie odnalazła do tej tajemniczej duszy, kryształowy klucz — kobieta.

Miała czyste oczy, pozłociste włosy i ciepło w uśmiechu.

Spotykała go często, gdy grał. Nie znali się wcale, nie zamienili ze sobą ani słowa, jednak zawarli serdeczne porozumienie. Było to jedno z tych uczuć ludzkich, zrodzonych podświadomie w sercu, wbrew woli, rozsądkowi, wbrew starym i utartym prawom świata. Uczucie bez wyznań, słów i spotkań, pełne pragnienia, pokusy i rezygnacji, pełne zwątpień i bezgranicznej wiary. Uczucie, jakich wiele przeżywa zbudzone, ludzkie serce.

Pono spojrzenie silniej zaklina i wiąże, niż słowa. Lubicz i kobieta o przeczystych oczach — spojrzeniem oddali się na własność. Odtąd jego skrzypce mówiły tylko o jego miłości i ona ją rozumiała. Odtąd deptał wszystkie rzucane mu kwiaty, dziękując jedynie za złotą orchideę, o której wiedział, że była od niej, że nosiła w swym kielichu woń jej oddechu i pocałunku, dotyk jej miłowanej ręki.

Były chwile, kiedy Sław pragnął ją poznać, usłyszeć z jej ust ciche, jak poszum kwiatowy, słowa, ujrzeć przy swojej twarzy jej miłujące oczy, usłyszeć bicie jej serca. Niesłychanie wrażliwy odczuwał, że się niepokoiła, cierpiała, że czekała na coś i o coś prosiła.

Jednak po pewnym czasie zżył się z swemi myślami i zniknęło w nim pragnienie zbliżenia się do niej. Pożądał jej obecności, była mu potrzebną, konieczną do życia, ale spowszedniała nieco i chciał, by wszystko zostało, jak było.

Wreszcie zaczęła mu obojętnieć, jako człowiek i jako kobieta. To, za czem najwięcej tęsknił, czego od niej żądał — to był oklask jej dłoni. Oklask jej małych, dziewczęcych rączek; milujących, szczerych w entuzjaźmie. Te ręce kochał, tych rąk pragnął, ale tylko w godzinie gry.

Wtedy zdawało mu się, że to jej ręce na strunach mdleją, pragną i pieszczą, że to jej ręce o swej tęsknocie śpiewają, o szczęście się modlą, o życie proszą. Jej białe, dziewczęce rączki

Całą subtelną duszą artysty wyczuł, że istnieją kobiety, które kochają bez słów i przysiąg, które w spojrzeniu oddają swe serce. I wiedział, że ona go tak kochała.

Ale jemu do życia starczył tylko oklask jej zachwyconych dłoni, więc bał się zerwać brutalnie zasłonę, która była poznaniem. A na dnie duszy żył w nim egoizm, wyrosły z tej walki, jaką kobieta toczyła o niego z nim samym. Pragnął, by zdobywając, traciła go i tem spłacała okup, jakiego od niej żądał wzamian za siebie.

Jakże często mijał ją w biało-złotych korytarzach Filharmonji, nie poznając, nie chcąc poznać. Napawał się bladością jej twarzy i tragicznym tańcem rąk, co bezwiednie szarpały koronki u sukni. Wyczuwał, jak przechodziła jej dusza przez nadzieję, zwątpienie, upokorzenie i gorycz, by dojść do poznania. Sław wykrył nowe natchnienie w jej męce. A ręce jej, mimo wszystko, wciąż były zdolne do oklasków, do pochwał jego gry. I tak żyli z wieczora na wieczór. Ona — swą męką, on — cudowną wymową i oklaskiem jej rąk.

Wreszcie, gdy spotkał ją raz w wielkim hall'u samotną, zdawało mu się, że o coś więcej pytała go oczyma niż zwykle, uważniej i bardziej badawczo i z jakąś większą, niż zwsze, ufnością. Zdawało mu się, że dziś właśnie chciała mu coś wyznać, wyjawić. Zaczęła iść ku niemu, a na ustach jej zakwitły niescałowane pocałunki.

Ale on, który tak długo śledził jej mękę, nie chciał jej zobaczyć innej i szczęśliwszej. Więc odszedł.

Potem nie przychodziła do Filharmonji przez kilka wieczorów. Nie trwożył się tem, wiedząc, że wróci. Zrozumiał jednak, że bez niej pustą jest pełna publiczności sala, że głucho jest, mimo rozgłośne owacje tłumu, gdyż milczą jej ręce, smutno, gdyż nie uśmiechają się jej usta, ciemno, gdyż jej oczy nie patrzą w jego duszę.

I nagle wykrył w sobie to, czego się nie spodziewał, czego nie oczekiwał: żal za nią. Brakło mu tych rąk i oczu, brakło jej całej, życie bez niej stało się niepokojącem wyczekiwaniem na jej przyjście. Jak każdy mężczyzna pokochał dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że mógłby ją utracić.

Wołał ją co dnia skrzypiec swych zaśpiewem, wierząc i wątpiąc naprzemian w jej powrót.

Aż gdy jednego wieczoru wydało mu się, że żyrandole jaśnieją niż zwykle świecą, spotkał znów jej przeczyste oczy, zapatrzone w jego duszę.

Śmiech weselny spadł na zasłuchaną salę z pod jego smyczka. Wszystkie ręce złożyły się do oklasku, tylko jej rączki, białe, drobne, bez ruchu pozostały wtulone w tiul sukni.

Jej dziewczęce, ukochane rączki, nie zadrżały, nie uniosły się w górę w porywie. Jej ręce zamarły. Zamarły na zawsze dla niego. Na jednej z nich błyszczała ślubna obrączka.

Gdy przez struny jego skrzypiec spłynęły łzy i wszystka krew z serca zawisła u smyczka — jej oczy już nie rozumiały.

Jej ręce nie żyły. Dziewczęce, najdroższe ręce...

ech Piwowar.

Znój południa.

Znojem złotych motyli, jak kwitnącym
[plastrem
rozłożyła się hojnie na szumiącej łące
pogoda, a w ogrodzie, ciągle się za słońcem
obracając, zmęczone kłonią głowy astry.
Jeden tylko słonecznik, jak pajac na sznurku,
kręci się dookoła i nic nie wie o tem,
że wyrósłszy w czeredzie rubasznych ogórków
nie wystrzeli po za płot, choć rośnie pod
[płotem.

*

Rozłożą się w zagony tłuste, żyzne pola,
przez udeptaną ścieżkę ziarno się przetoczy
i niepotrzebnem sypnie kwieciem, jak topola,
co rośnie gdzieś daleko w cienistem uboczu.
I wszystko jest tak mądre i takie skończone,
że niema czego szukać, niema o co pytać.
Tylko — czemu wystawia swe oczy zdziwione
kąkol z łanu kąkoli — a nie z łanu żyta?

Nowe dzieła polskich kompozytorów.

Szereg kompozytorów polskich pracuje nad nowemi utworami. L. Różycki wystawi w operze warszawskiej podczas bieżącego sezonu najnowsze swe dzieło p. t. „Młyn djabelski“, które sam autor określa mianem opery-filmu. A. Wieniawski napisał nową operę komiczną p. t. „Król kochanek“, osnutą na tle przeżyć Augusta II. Maklakiewicz kończy koncert wiolonczelowy. Sikorski pracuje nad swoją trzecią symfonją. Kassern pisze cykl pieśni solowych z towarzyszeniem orkiestry oraz operę „Daniel“ do słów Wyspiańskiego. Wreszcie St. Wiechowicz tworzy szereg drobnych utworów chórowych i większą kompozycję symfoniczną z chórem.

Konkurs na utwór muzyczny.

Rada naczelna Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczych i Muzycznych ogłasza konkurs na utwór wokalny do podanego wiersza:

Ponad niwy, ponad chaty,
Nad Bałtyku toń,
Nad niziny, nad Karpaty,
Pieśni polska, dzwoń!

Zbieraj wspólne serc radości,
Wspólne bóle, łzy
I nieś, gdzie duch bratni gości,
Polska mowa brzmi!

Kuj z narodu twardą skałę,
Każdy wzmacniaj próg!
Niech przez ciebie rośnie w chwałę,
Ojczyzna i Bóg!

Nagroda za utwór wyróżniony wynosi 500 złotych. Termin nadsyłania prac — 1-go maja 1930 r. Bliższe szczegóły konkursu w miesięczniku „Muzyka“ Nr. 61 — 62 z 20 grudnia 1929 r.

„MUZYKA“ Nr. 61 — 62

odznacza się obfitą i urozmaiconą treścią. Na wstępie znajdujemy cenne studjum historyczne ks. H. Feichta o źródłach śpiewu gregorjańskiego w Polsce. Zawsze aktualną sprawę porusza znakomity kompozytor i krytyk Fr. Brzeziński w swym artykule o kwalifikacjach zawodowych krytyka muzycznego. Autor następnego, bogato ilustrowanego artykułu, p. K. Stromenger, daje studjum historyczno-estetyczne o muzyce w malarstwie. Zainteresowanie wzbudzi artykuł J. Kiepury, odsłaniający tajemnice pracy artystycznej w medjolańskiej La Scali. Szereg artykułów zamyka dokończenie studjum T. Jareckiego o instrumentach perkusyjnych oraz artykuł H. Opieńskiego, poświęcony I. Paderewskiemu wobec 50-ciolecia pracy kompozytorskiej Mistrza. Aktualne „Impresje muzyczne“ redaktora M. Glińskiego, sprawozdania muzyczne z miast polskich i zagranicznych, następnie bogata kronika, oraz wiersz Iwaszkiewicza „Do Karola Szymanowskiego“ dopełnia obfitą treść tego numeru „Muzyki“, z dodatkiem nutowym „Berceuse“ Czesława Marka.

Populizm.

Symbolizm, dadaizm, futuryzm, nadrealizm... populizm... Schorzały i gojący swe otwarte do dziś rany wiek XX-ty wydaje u schyłku swego trzydziestolecia nowy prąd literacki — p o p u l i z m.

Nowy taniec woskowych figurek, przemalowanych jeno na inne kolory. Na ruchomej scenie życia następuje zmiana dekoracyj. W miejsce różowych buduarów, przesyconych odurzającym zapachem perfum, w miejsce klubów, przepełnionych czarnymi frakami i spowitych dymem wonnych cygar, zamiast roztrzęsionego wrzaskliwą hałastrą baru, czy drgającej w podrygach od rozszalałego jazzu nocnej spelunki Montremartre'u, pojawia się skromne i ciche mieszkanie praczki — żony elektrotechnika, biuro urzędnika bankowego, pracownia paryskiej midinetki, stragan przekupki. Szary lud wkracza znów na scenę życia.

Reżyserami tej akcji a zarazem dyrygentami zespołu ilustrującego ten, pociągający swą prostotą i naturalnością, taniec są pp. Leon Lemonnier i Andrzej Thèrive.

Kierunek literacki propagowany przez tych pisarzy nie jest czemś nowem. Jest to zdaniem wielu, naturalizm w swej nowej formie i nieco odmiennych przejawach.

Pojawił się on jako naturalna reakcja przeciw zbytniemu psychologizmowi, wywołanemu wojną i jej bezpośredniemi skutkami, i który zaznaczył się zwłaszcza u młodych pisarzy, spadkobierców z prostej linji powojennego pokłosia. Rozważania nad rozmiarami klęski i spustoszeń, pozostawionych przez wojenną wichurę, naukowe wynajdywanie środków odurzających ludzkość i mających ją rzekomo uleczyć z odniesionych blizn powinno wreszcie ustąpić.

„O c z y ś c i ć a t m o s f e r ę, w p r o w a d z i ć w i ę c e j ś w i e ż e g o p o w i e t r z a“ oto hasła dnia, wyrywające się z ust miljonów.

Hasło to podjęli populiści.

„Żądamy we współczesnej powieści — głosi Andrzej Thérive w jednej ze swych enuncjacyj — nieco prawdy, nieco ludzkości“ („un peu de verité, d'humanité“).

„Szczerzy względem siebie, jakoteż w stosunku do objektu naszych obserwacyj, chcemy pozostać w dziedzinie życia i tylko życia, poddać się „bezpośredniej rzeczywistości“ (nous soumettre à la réalité immédiate, à l'humble et quotidienne réalité“).

„Twierdzę, — mówi on dalej — że lud jest tworem zawsze nowym, więcej bogatym i pociągającym, bardziej złożonym i wzruszającym od tych, którzy żyją w zbytku i oszałamiają się rozkoszą. W ludzie jest więcej prawdziwej duchowości, więcej dążności do ideału“.

Apoteoza ludu. Hasła wyraźne, niejednokrotnie wypisywane na sztandarach nietylko literackich.

Dokąd zawiedzie ten nowy ruch literacki, jak zmieni oblicze współczesnej literatury francuskiej trudno narazie przewidzieć.

Jest on teorją dość obszerną, dającą szerokie pola działania i stworzą ex post. Twórcy jej mają za sobą duży dorobek. Bojową powieść za jaką uważana jest „Kobieta bez grzechu“ Leona Lemonnier wyszła przed dwoma laty i nie wywarła żadnego wrażenia. Dziś jest inaczej. Jest ona „en vogue“, jak również dwie powieści Andrzeja Thérive: „Bez duszy“ i „Żarzące węgle“.

Do nowej szkoły zaliczane są również jako propagatorki ruchu populistycznego: Suzanne Normand ze swą „Marie — Aimée“ oraz Claire Goll z powieścią p. t. „Une perle“.

Józef Warchala.

Pod znakiem koloru i formy.

Jasno-fioletowe kartki ze złotemi napisami: „Zakupione“.

Więc nareszcie przestali ludzie mówić z żywemi gestami rąk o sztuce i... kupują! kupują nawet drzeworyty!

Brawo!!!

To ogólny wstęp napisany z radosnem biciem serca. A w szczególe:

Drzeworyty Stanisława Raczyńskiego doskonałe, — kolorowe w swej czarności. Opanowane pod względem techniki do ostatnich granic. Tematy różnorakie: od zmysłów do drewnianej kapliczki, od cyrkówki, do portretu. Szczególną uwagę z pośród wielu doskonałych dzieł, zwraca świetny, kipiący dynamiką i rozmachem obraz sportowy „Bieg przez płotki“.

Obok prac Raczyńskiego, cisną się w oczy barwne drzeworyty **Bieleckiego**, do których treść czerpał autor przeważnie z Krakowa i okolicznego Tyńca.

P. **Janoszanka** dała szereg ciekawych obrazów, malowanych na szkle, w których pędzel łączy się zręcznie z techniką, duchem zbliżoną do batiku. Tematy tych obrazów wynikają n. b. z materjału, jakim artystka rozporządza. Są to więc złocone fantazje: ptaki, drzewa i t. p.

Rafała Malczewskiego tatrzańskie akwarele, malowane z werwą i temperamentem, oraz kolorowe obrazy Leszki, które tak wielką sympatją cieszyły się ostatnio w „Pałacu Sztuki“, — zamykają szereg naprawdę pięknych dzieł pędzla i małego, pracowitego dłótka.

Z. K. D.

„Camera obscura“.

Rozgłos osiąga się bluff'em.

Popularny tygodnik warszawski p. t.: „7 dni“ w Nr. noworocznym, nie wiadomo z jakich powodów, bryzgnął w czytelników stekiem świństw, cytując przedmowę do książki Pitigrilli'ego, mającej wkrótce wyjść w Warszawie. Ten — jak go określają — „najdowcipniejszy pisarz współczesny“ w tak dziwny sposób wyładowuje swój dowcip, że w autobiografji, po opisaniu swego wyglądu zewnętrznego, komunikuje nam z zadowoleniem, że „jeszcze nie miał syfilisu“.

Jak się przekonamy z dalszych jego enuncjacyj — można go raczej posądzić, że gnije w ostatniem stadjum. Zwierza się czytelnikom, że uważany jest za pederastę, utrzymanka kobiet, kochanka swej siostry, na co znajduje tylko jedną odpowiedź: „im lepiej poznaję kobiety, tem bardziej szanuję pederastów“.

Czy — jeśli określę tego degenerata mianem: zwierzęcia, zbytego czci i wiary, honoru i etyki — popełnię niewłaściwość? Sądzę, że nie! A raczej, że byłem nadto powściągliwym w wyrażeniach.

Idźmy jednak dalej. Wpaja on czytelnikom sentencje tego rodzaju: „Wszystkie kobiety — nawet księżniczki krwi — posiąść można, jeżeli się opłaci. Jest to kwestja ceny. A pieniądze się zarabia, albo się kradnie“. Istotnie „zaszczyt“ dla Italji, że może pochlubić się takim (!) humorystą.

Pitigrilli pragnie jednego — „być silnym, aby dać w pysk 75-ciu na 100 swych bliźnich“. Miły pasażer?! Żony nie chce. Ale cierpi (sic!) z tego powodu, że nie ma dzieci! Chciałby, „aby jakaś kobieta zrodziła mu syna, a potem poszła sobie robić innych, na rachunek innych, jeśli chce, ale żeby — jego — uwolniła od swej osoby“.

Zaiste niewiadomo czy obłąkanym jest ten pan, czy tylko szubrawcem pospolitym. Pławi się w miazmacie swego zbydlęcenia tak dalece, że wygłasza swe credo w formie niegodnej nawet najgorszego wyrzutka społeczeństwa, 100-krotnie zdeprawowanego kryminalisty. Objawia nam swój upadek mniej-więcej temi słowy: „Wszystkie kobiety, to prostytutki, z wyjątkiem naszej matki i kobiety, którą kochamy — w tej chwili. W każdej kobiecie jest prostytutka, tak jak w każdym mężczyźnie jest żołnierz. Kobiety chotliwe, to pojedyncze wypadki, jak oporni i niezdolni do służby wojskowej“.

Ów „100-procentowy mężczyzna“ ma też nieco oryginalny pogląd na płeć brzydką. Uważa bowiem, że „wszyscy mężczyźni to złodzieje, wyjąwszy naszego ojca i człowieka z którym rozmawiamy. Uczciwość mężczyzn podlega taryfie. Każde sumienie ma swoją taryfę. Jeden popełnia podłość za 8 soldów, inny nie popełniłby jej za miljon. Ale jeśli mu dać dwa, to się zdecyduje“. Do tych ostatnich, zdaje się, należy autor tych wyznań!

Oto znak czasu. Szumowiny górą! Chamstwo, zbydlęcenie, moralne przegnicie, „paralisis progressiva“ etyki, łajdactwo — i to wszystko rzucone na żer łakomych gnoju czytelników. Ale przytem ma ów kaleka sugestywny wpływ, którego siłę — w jednym kierunku — odczuwam na sobie — mianowicie i ja zaczynam marzyć o takiej sile fizycznej, a by móc „dać w pysk“ 75—100 razy takiemu bliźniemu. Brawura tej „swołoczy“ jest iście bolszewicka.

I taką ohydą karmi swych czytelników, na rozpoczęcie roku „7 dni“. Bravissimo! moi Panowie! Ale chyba u poważniejszych czytelników straciliście zdobyty przez rok kredyt. Brak kultury, etyki, zdrowego rozsądku, a chyba nie w tym celu, by mieć czem zapełnić ostatnią kolumnę.

A wydawnictwo „Alfa“, licząc na najniższe instynkta powojennej, zdemoralizowanej publiczki, i otwierające swą działalność wydawniczą tym skandalem — niezbyt chlubnie zapisze się w poczet wydawców polskich. — Smutne jest jeszcze to, że dla polskich autorów niema miejsca i walczyć muszą o każdy arkusz druku, by móc żyć — natomiast dla tej hjeny, szkalującej wszystko, co drogie ludziom honoru, zakłada się bibljotekę.

Skandal! Przeciw temu rozhukanemu błaznowi wytaczano już nieraz zagranicą, a specjalnie w jego ojczyźnie, najcięższe działa celem zgłuszenia jego kalumnij, spuszczano potopy, by zmieść z powierzchni ziemi plwociny i jad, jakiemi truł i truje odradzające się po kataklizmach wojny społeczeństwa, a jednak nigdzie nie wyplewiono go bez reszty, gdyż zachód lubi pławić się w bagnach! Może zatem w Polsce znajdą się ludzie, którzy położą rękę na tym sterze zadżumionej nawy i powstrzymają ją póki czas. My mamy odradzać się, nie gnić, nie zatruwać, mamy olbrzymieć nie karłowacieć!

Przybysław.

Przegląd wydawnictw.

MARJAN NIŻYŃSKI: „Opowieść o dzwonniku z portu Jaffa“. (Z autolitografjami autora). „Sukienka“ zewnętrzna tomiku przedstawia się bardzo przyzwoicie. Autor nie powtórzył za innymi poetami, że „z obrazkami to drożej kosztuje“, lecz dał nam szereg pełnych wyrazu, typowo dekoracyjnych ilustracyj w tekście. Wiersze — bądźmy szczerzy i nie odprawiajmy autora z nic nieznaczącem „poklepaniem po ramieniu“. Sądzimy zresztą, że autor z ochotą zaglądnie do swego tomiku przez czyjeś, inne oczy. Otóż — na treść składa się 20 utworów o bardzo różnej wartości. Trzy pierwsze poświęcone Chopinowi. Uwielbiam mistrza naszej muzyki, ale tu stwierdzić muszę, że jest to raczej rymowana proza, o tonie dyskusyjno-dziennikarskim, czego autor powinien stanowczo unikać! Wiersz „Matko! ja grać nie umiem!“ uderza nieopanowaniem tworzywa tak słownego. jak i myślowego: „mgłą pokryte czcionki“ (zdaje się, że mowa o klawiszach?!) dalej moment zrzucenia klawikordu z perci (?), wojska „zarzynające wyjące gardziele“ — niestety śmieszne! Kontrast stanowi „klasztor OO. Pallotynów“, utwór ciekawy o barwnym opisie połączonym z pasją pisarską. Wiersze objęte tytułem „Twórcom“, odpowiadają wartością utworom o Chopinie. Bezsprzecznie najlepszym wierszem w tomiku jest „Co księżyc robi w nocy“ ze względu na dobre rozwiązanie metafory, przytem wyjątkową u autora ekonomję słowa. Ładny jest „Kwiat na hali“, zastrzelony jednak fatalnem powiedzeniem „życiopłodny“, które w ustach górala brzmiałoby poprostu — strasznie. Tomik zamyka „Opowieść o dzwonniku z portu Jaffa“, miejscami rozlewna miejscami patetyczna. Szkoda tylko, że autor zrobił w niej z żydów „Genjuszów pozji, do czego chyba nie mogą mieć na serjo pretensyj, będąc raczej już genjuszami w róbieniu pieniędzy. A może jest to tylko ironja.

Z.

KOMUNIKATY.

P. **Mieczysław Wojtaszewski** wystąpił z „Krak. Klubu Literatów“. W poczet członków przyjęto p. **Hankę Kłosińską** i p. **Józefa Warchalę.**

Administracja „Anteny Literackiej“ składa podziękowanie pani **Róży Lubieńskiej** z Krakowa za zł. 20·— i p. **Michałowi Waligórze** z Sambora za zl. 50·— złożonych na fundusz prasowy.

Prenumerujcie „ANTENĘ LITERACKĄ!“

„ANTENA LITERACKA“
Redakcja i Administracja: Kraków, ul. Wolska L. 14, parter

Redaktor przyjmuje we czwartki i soboty od 12 1 z wyjątkiem świąt. Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Przedpłata roczna 6 zł., półroczna 3 zł **Cena ogłoszeń:** 1 strona 280 zł., 1/2 strony 150 zł., 1/4 strony 80 zł., 1/8 strony 40 zł., 1/16 strony 20 zł.

Wydawca: „Krakowski Klub Literatów“ — Red. odpowiedzialny: Jan Kazimierz Zaremba. — Drukarnia „Głosu Narodu“ pod zarządem R. Ferka.